

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

Ryszard Wagner.

Dzień 22 maja r. b. będzie dla całych Niemiec wielkim świętem, przypada bowiem w stuletnią rocznicę narodzin jednego z największych genjuszów muzycznych — Ryszarda Wagnera.

Urodzony w Lipsku w roku 1813-ym pochodził z dawno osiadłej w Saksonji rodziny; przodkowie jego byli przeważnie nauczycielami i organistami, z wyjątkiem dziada i ojca, z których pierwszy otrzymał urząd przy podatkowaniu, drugi skończył studja prawne, a później pozostawał na służbie państwowej, oddając się z wielkim zamiłowaniem literaturze i sztuce.

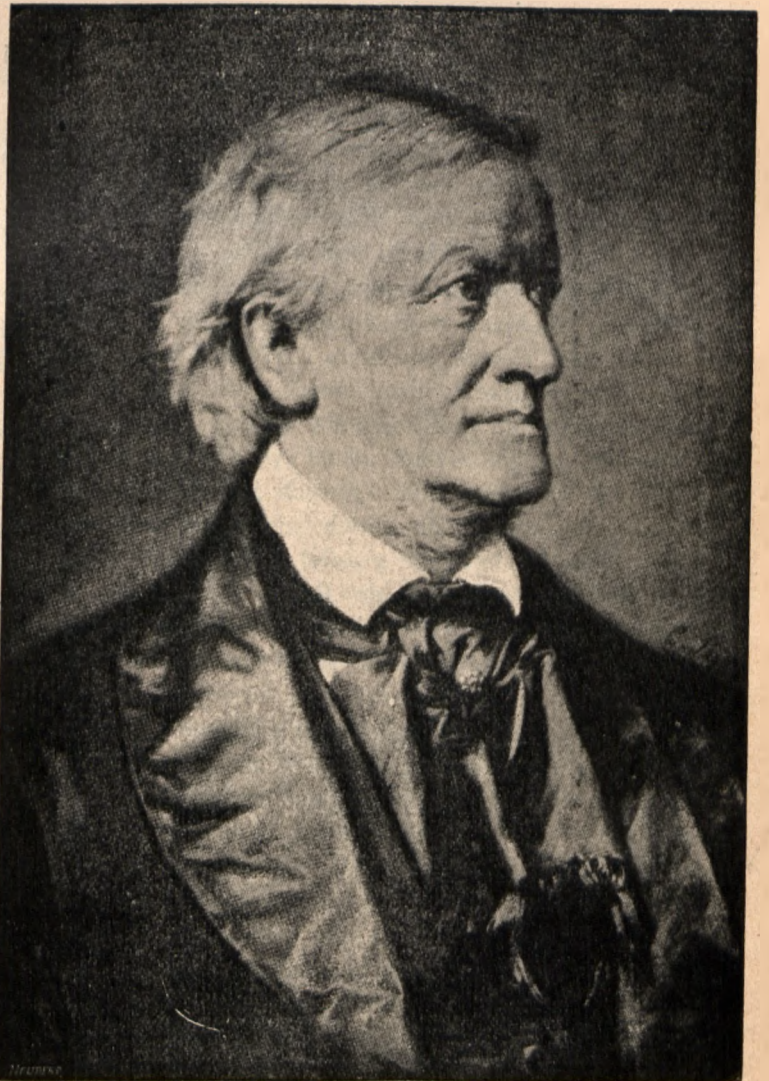
Z początku młody Ryszard kształcił się w Dreźnie, potem w Lipsku, gdzie zaczął wczesnie próbować swoich sił na polu poetyckim. Później jednak objawił zdolności kompozytorskie i postanowił zostać muzykiem.

Nauczycielem jego był z początku Teodor Weinling, który rozbudził w Wagnerze zamiłowanie do muzyki. Niestety, późniejsze warunki skłoniły młodego kompozytora do pracy dla chleba i Wagner został dyrektorem chóru w Würzburgu, a następnie kapelmistrzem teatru w Magdeburgu.

Jednym z jego pierwszych utworów jest opera „Rienzi“ mało wystawiana, następnie idą: „Latający Holender“, „Tristan i Isolda“, „Pierścień Nibelungów“, „Złoty Ren“, „Walkirje“, „Lohengrin“ i wiele innych, a oprócz nich cały szereg pięknych i poważnych pieśni.

W Bayeruth w Bawarii wystawiono teatr, w którym bywają grywane same utwory Wagnerowskie; na scenie Warszawskiej w ostatnich czasach wystawiono „Lohengrina“ i „Tanhäusera“.

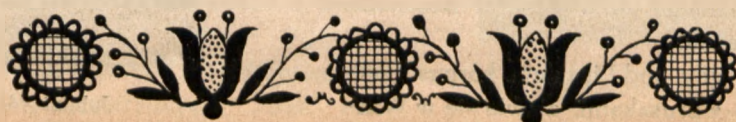
Po śmierci Wagnera, oprócz utworów muzycznych, pozostało wiele pism drobnych, fragmentów, poezji i listów, oraz pamiętnik zatytułowany: „Moje życie“,



Ryszard Wagner.

a wydany przed rokiem przez jedną z firm w Monachium.

M. P.



Przed stu laty.

(LÜTZEN — BUDZISZYN).

Gdy cesarz Napoleon przybył 18 grudnia 1812 r. do Paryża resztki wielkiej armii znajdowały się pod Królewcem. Odwrót nie był jeszcze ukończony, ale dzieło zniszczenia było już dokonane i pozostało za ledwie 40,000 ludzi zdolnych do noszenia broni.

Klęska nie zdołała jednak złamać energii wielkiego cesarza. Planem, jaki powziął wówczas, było przywrócić Francji nową wielką armję, ukazać się na jej czele między Renem a Łabą, rozpocząć działania zaczepne i przywrócić granice cesarstwa z przed r. 1812.

Zadania te utrudniła w znacznej mierze zdrada pruskiego generała Yorka, który przeszedł do nieprzyjaciela i umowa neutralności, zawarta przez ks. Schwarzenberga, komendanta oddziału austriackiego. Prusy zawarły przymierze z Rosją, co wywołało w Prusach Królewskich powstanie zorganizowane przez Yorka.

Ruch antyfrancuski objął całe Niemcy, a tymczasem generał-porucznik Scharnhorst zajął się reorganizacją armji pruskiej, tak, że z początkiem kwietnia, z chwilą gdy król Fryderyk Wilhelm wypowiedział wojnę, było blisko 100,000 ludzi pod bronią.

We Francji przygotowania wojenne prowadzono gorączkowo. Genjusz organizacyjny Napoleona nigdy nie okazał się równie potężnym. 174,000 ludzi, wliczając w to wojska cudzoziemskie, oto siła, która w połowie kwietnia pod komendą księcia Eugenjusza Beauharnais, mogła wziąć udział w operacjach wojennych. Z wyjątkiem kilku starych żołnierzy byli to sami rekruci; dwie trzecie z nich nie miało dwudziestu lat! W cztery miesiące później wielka armja liczyć będzie 400,000 ludzi. Co do Rosjan i Prusaków, to pozbawieni pomocy Austrii i króla szwedzkiego Bernadotte, mogli oni przeciwstawić siłom francuskim tylko 95,000 ludzi w czterech korpusach, komenderowanych przez Wittgensteina, Wintzingeroda, Blüchera i Yorka.

18 kwietnia przybywa Napoleon do Moguncji; pozostaje tam tydzień, przygotowując, przewidując wszystko. Sprzymierzeni gromadzą się pod Lipskiem i na południu między Łabą a Saalą. Wtedy cesarz decyduje się na plan pierwszych operacji: nad Saalą do której ks. Eugenjusz musiał się cofnąć, koncentruje on swoich sześć korpusów, którymi dowodzili Ney, Marmont, Bertrand, Lauriston, Oudinot i Macdonald oraz gwardję, stojącą pod komendą Mortier'a i Bessieresa; przyciąga do siebie ks. Eugenjusza i posuwa się do Lipska, w celu zaatakowania i oskrzydlenia nieprzyjaciela.

W chwili gdy dokonywa się połączenie z armją księcia Eugenjusza, Ney na czele przedniej straży przebywa Saalę pierwszego maja, spotyka przednią straż nieprzyjacielską, rozbija ją i zmusza do cofnięcia się ku Elsterze; tego samego dnia generał Bessieres ginie podczas rekonensansu.

Nazajutrz w chwili, gdy pod Lipskiem korpus Lauristona rozpoczął walkę z prusakami, zjawia się w Witt-

genstein na równinie koło Lützen, aby odciąć armję francuską od Saali. Plan ten ułożył Scharnhorst. Napoleon powstrzymał ruch naprzód, zmienił swe dyspozycje i skoncentrował swe siły, oczekując napaści nieprzyjacielskiej.

Bitwa, w której wzięły udział korpusy Ney'a, Marmont'a, Macdonald'a i gwardja, rozpoczęła się nad ranem i toczyła się do późnej nocy koło wsi Kaya, Rahna i Gross-Goerschen; wreszcie młoda gwardja, podtrzymana przez starą gwardję i chroniona ogniem 80 dział, wzięła te wsie atakiem na bagnety. Po zwycięstwie, ale bezskutecznym ataku Blüchera, Wittgenstein cofnął się za Łabę.

Bitwa rozegrała się w oczach cesarza Aleksandra i króla pruskiego. Wielka armja miała blisko 13,000 ludzi rannych i zabitych, sprzymierzeni 15 — 16,000; dwie trzecie strat ponieśli Prusacy. Scharnhorst i Blücher byli ranni.

Biuletyn bitwy pod Lützen przypisuje Napoleonowi następujące słowa:

„Dwadzieścia lat dowodzę wojskami francuskimi, a nigdy nie byłem świadkiem takiej waleczności, takiego poświęcenia“.

W słynnej proklamacji wydanej nazajutrz po bitwie, cesarz tak się wyrażał:

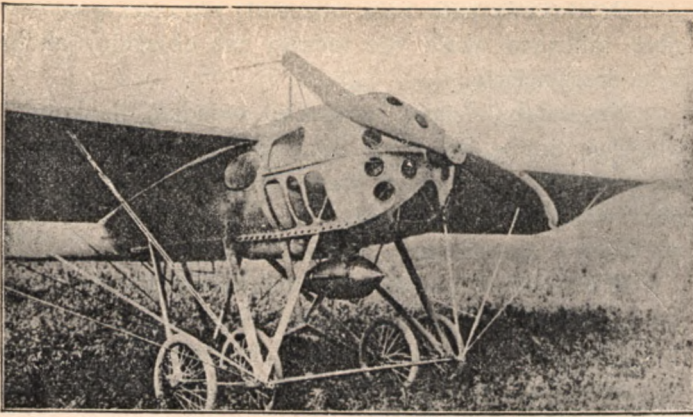
„Żołnierze! jestem z was zadowolony! Wasza dobra wola i wasza waleczność wszystkiemu zaradziły... Bitwa pod Lützen wyżej będzie ceniona, aniżeli zwycięstwo pod Austerlitz, Jeną, Friedland i Moskwą.

Egzaltując zapał swoich żołnierzy, wiedział jednak Napoleon, że nie ma on tej samej wartości, co waleczność świadoma i trud ciągły, że nie zastępuje on doświadczenia i może być nawet niebezpieczny dla karności, Zaopatrzył on też wielką armję w bardzo liczną artylerję, mającą wzmocnić ducha walczących i często poprawiał swe pochwały surowemi naganiami.

Sześć dni po zwycięstwie pod Lützen sprzymierzeni opuszczali Drezno, zajęte natychmiast przez Na-



Jubilat Józef Kotarbiński.



Samolot jednopłatowiec silnego typu — na lądzie.

poleona. Armia rosyjsko-pruska przekroczyła Łabę i pozostawiwszy Berlin bez obrony, cofnęła się do Budziszyna na obronę przez cesarza Aleksandra pozycję o dwóch frontach obronnych, z których jeden tworzyły pagórki na prawym brzegu Sprewy, a drugi silnie ufortyfikowane wzniesienie.

19 maja armia francuska wzmocniona przybyłym oddziałem 30,000 ludzi rozwinęła się naprzeciwko sprzymierzonych, wzmocnionych korpusami Miłoradowicza, Barclaya de Tolly i Kleista. Nazajutrz w południe tyraljerzy rozpoczęli ogień; Oudinot, Macdonald i Marmont zmusili korpusy Mileradowicza i Kleista do cofnięcia się na tylną linię obronną, a wołyżerzy jednej z dywizji Marmonta, zdobyli wały budziszynskie.

Walka rozpoczyna się 21 maja wczesnym rankiem. Wszystkie korpusy obu armii biorą udział w akcji. Już w przeddzień Napoleon spostrzegł korzyści ataku na prawe skrzydło nieprzyjacielskie celem obejścia położenia ufortyfikowanych pozycji nieprzyjacielskich. Podczas, gdy na lewym skrzydle Miloradowicz rozpoczyna atak przeciw Oudinotowi i Marmontowi, Ney i Lauriston, przeprawiwszy się przez Sprewę, rozbijają na prawym skrzydle korpus Barclay'a de Tolly i w chwilę później korpus Marchanda zdobywa wieś Krekwitz, główny punkt oparcia centrum i zmusza Blüchera do cofnięcia się. Rezerwa rosyjska, stojąca pod dowództwem Yorcka, usiłuje nadaremnie odebrać wieś; Napoleon wysłał swoją rezerwę, która odpiera atak. Ney na prawym skrzydle zadaje klęskę Barklajowi de Tolly i Kleistowi, których korpusy cofają się w kierunku Wurschen. Przed końcem dnia Marmont, Macdonald i Oudinot zdobywają fortyfikacje bronione na lewym skrzydle przez Miloradowicza i klęska nieprzyjaciela staje się zupełną; wszystkie jego korpusy cofają się na Weissenfels.

Podobnie jak i pod Lützen zwycięstwo było drogą okupione. Straty armii francuskiej wynosiły 12 do 13,000 ludzi, nieprzyjacielskiej do 17,000. Pościg rozpoczął się nazajutrz po bitwie pod Budziszynem i ukończył się dopiero pod Głogowem, Wrocławiem i Świdnicą.

Napoleon zgodził się na zawarcie zawieszenia broni, proponanego przez sprzymierzonych. Miało ono

pozwolić Prusom na zreorganizowanie swych sił, Rosji na wystawienie nowej armji a Austrii na uzupełnienie swych zbrojeń.

Cesarz nie podpisał zawieszenia broni bez obaw. W chwili wyjazdu do Drezna mówił ze smutkiem: „Jeżeli sprzymierzeni nie są w dobrej wierze, to zawieszenie broni będzie dla nas fatalne“.

AFORYZMY.

Dzisiaj trzeba prawicy a jutro trzeba praw.

* * *

Zaprawdę, jako słońce światłość swoją traci, gdy za chmurę zajdzie, tak rozum ludzki od zbyteków tępieje.



Samolot dwupłatowiec w powietrzu, podczas wywiadów wojskowych.

Pierwsza wycieczka.

(URYWEK Z PAMIĘTNIKA).

dok.

Tam gdzie się wąwóz kończy, zaczyna się zwykła równina.

Wobec tego wracamy do doliny Sąspowskiej, głęboką, żółtą dróżką, zbierając po laskach jagody, bo upał jest zacny. To sprawia, że z mniejszym zapalem wdzieramy się tu i owdzie na wzgórze, ustrojone zielenią.

Cały wdzięk skał ojcowskich, to właśnie owe zielone wieńce, jakie noszą na czołach.

W jednym punkcie doliny uwagę naszą zwraca skała zupełnie stroma od dołu i od góry, posiadająca w połowie wysokości dość duże otwarte wgłębienie, niby niszę, skąd przypatrywać się okolicy mógł chyba tylko ptak.

Jednak na tylnej ścianie owego wgłębienia widnieją wypisane czerwono olbrzymie litery S. C. i data roku bieżącego.

A więc ktoś i to w tym roku zdołał się tam wdrzeć z celem, czy bez celu i inicjały swoje uwiecznić.

Wszczyzna się między nami spór, jakim sposobem to zrobił?

— Jadzia twierdzi, że rąbał sobie stopnie siekierą; Maryla że z drugiej strony musi być tajemne przejście; ja przypuszczam, że uwiązał sobie sznur u rosnących u góry krzaków i po nim się spuścił; wreszcie ojciec mój przecina kwestję najracjonalniej w świecie:

— Ależ on tam wszedł po drabinie!

Lecz my się oburzamy. W tych wielkich literach widzimy koniecznie bohaterstwo, do którego nie pasuje drabina.

Ostatecznie spór nasz pozostał nierozstrzygniętym gdyż milcząca skała nie raczyła nas objaśnić, jak to było rzeczywiście.

Naostatek idziemy wreszcie zwiedzić dokładniej właściwą dolinę Prądnika, dochodzimy, aż do jej końca, przechodzimy przez niezliczoną ilość kładek, odpoczywamy na zboczu wzgórza, rozkoszując się powietrzem i otoczeniem. Wreszcie czas wracać.

Wszystkiemi głosami postanawiamy iść raz jeszcze „z pożegnaniem“ na Chełmówkę.

Jest już wieczór i trochę chłodniej. Wbiegamy na górę bez odpoczynku i prawie klusem. Dziwnie nam rzeżko i dobrze.

Na szczycie pusto. Wlepiamy oczy w przestrzeń. Kraków tym razem tonie we mgłach. W milczeniu patrzymy w dal, jakbyśmy chcieli obraz ten wziąć i wkleić w duszę.

Żegnaj, żegnaj, Chełmówko.

* * *

Twierdzą ci, co wiele przeżyli i doświadczyli, że czasem wspomnienia kilku dni, lub kilku godzin jasnych wesołych i pełnych wrażeń, dłużej zostają się w umyśle naszym, niż wspomnienia lat całych, jednostajnych, w szarzyźnie spędzonych.

Takich wrażeń najbardziej jasnych i pogodnych dostarcza nam bliskie zetknięcie się z umiłowaną przyrodą. Poznać ją, spojrzeć na nią zachwyconemi oczyma, pókiśmy młodzi, póki nas byle co nie zmęczy, a byle niewygodna nie zatrzyma! Nie będziemy wówczas wstydzić się, że nie znamy tego lub owego kąta który jest przecież tak wdzięczny, tak cudny — i niestety tak mało przez nas samych znany.

A z tych małych podróży naszych pozostanie nam później wspomnienie takie, że go kiedyś przyzywać będziemy z oddali, wołając:

„Powróć!“

Kurpianka.

N I G D Y!!!

19)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

Za obozem, w którym znajdował się ks. Józef, ciągnęły dziwnego rodzaju sanie.

Miały niskie, szeroko rozstawione sanice, ale za to wielką wierzchnią objętość; pokryte były grubym w wielu miejscach połatanem płótnem, musiały zaś być srodze naładowane, bo cztery najrozmaitszego wzrostu i maści konięta wyteęzały wszystkie siły, ażeby je uciągnąć.

Bo czegoż tam na tych saniach nie było!

Baryłki z wódką, połcie słoniny, olbrzymie chleby, worki z owsem, wiązki siana, skrzynka z bandażami, szarpkami, starem płótnem, odzieżą niewyraźnej nazwy i barwy.

Przedewszystkiem zaś sterczały za wozem uwiązane cztery niskie koła, które za każdym mocniejszym wysiłkiem zbiedzonych koni, wydawały głuchy chrzęst, lub dźwięk, jeżeli okucie o okucie uderzyło!

Do tego chrzęstu i stukotu tak się przyzwyczaili żołnierze jadący w ostatnich szeregach, iż gdyby go nie słyszeli, z pewnością tęskniliby za nim.

Ks. Józef jadący naprzód w wielkich saniach, a często, gdzie była droga po temu, konno, chrzęstu tego ni stukotu nie słyszał.

Ale zdarzyło się pewnego dnia, że powietrze było suche, nie przesiąknięte wil-

gocia i stukot ten doszedł bystrego słuchu wodza.

— Co to? — spytał marszcząc brwi.

— To wóz, co ciągnie za nami tak klekoce! — odpowiedział jego adjutant Bujno.

— Wóz w obec sanny? — zapytał znów książę.

— Doprawdy, nie wiem jak to nazwać, wóz, czy sanie, bo ma i koła i sanice.

— Bredzisz, mości Bujno! — Jeszczem o takim wehikule nie słyszał! — rzucił nie dbale książę.

— Po chwili jednak znów pytał:

— Jak dawno ten wehikuł wlecze się za nami?

— Prawie od samej Warszawy.

— Jakto, i ja nic o tem nie wiem! nie powiadomiliście mnie o tem?

Adjutant rozłożył ręce na znak, że źle zrobił, skłonił się, ale się nie usprawiedliwił.

— Co w nim jest? — spytał gniewnie książę.

— Najrozmaitsze zapasy potrzebne dla wojska dla tego o istnieniu onego osobliwego wehikułu, nie czuliśmy się w obowiązku uwiadamiać jego książęcą mość.

Ale stukot coraz więcej dochodził i niecierpliwiał księcia; że zaś właśnie zjeżdżali na postój, do jakiejś wioski, książę nie wszedł do przeznaczonej dla niego izby, jeno chodził i rozglądał się, przypatrywał się wjeżdżającemu zmęczonemu wojsku aż wreszcie doczekał się, że i wozy nadciągnęły.

Osobliwy wehikuł zwiastował swoje przybycie coraz to głośniejszym stukotem i coraz większym wysiłkiem zmęczonych koni.

Pozostał nawet za zabudowaniami i nie cisnął się w przepelniony wojskiem i wozami obszerny podwórzec.

Ks. Józef skinął na adjutanta i w towarzystwie jego i dwóch szeregowców zbliżył się do wehikułu.

Własnoręcznie odchylił płótno, z pod którego otulona w chustę wyjrzała jakaś twarz puciołowata.

Na okręconej chustą głowie sterowała futrzana czapka, jaką nosili niektórzy żołnierze, kożuszek żołnierski okrywał jej postać, ale z pod tego kożuszka przy szyi widniał czerwony fontaż. Z długich zaś nadmiernie rękawów wysuwały się wcale drobne choć czerwone ustrojone w wełniane mitynki ręce.

Niedorostek czy dziewczyna? — zapytał książę otaczających.

Nie zdążyli odpowiedzieć, gdy zgłębi wożu odezwał się głos piskliwy ale rezolutny.

— Ni jedno, ni drugie, jeno markietanka.

Książę mimowoli uśmiechnął się; uśmiechnął się adjutant i żołnierze dalej stojący.

— Skądżeś się tu wzięła? — zapytał książę, przypatrując się otulonej puciołowatej twarzy.

— Skąd? — przecie od samej Warszawy, ba, nawet od samego Wilna ciągnę za księciem Józefem Poniatowskim i jeszczem go nigdzie nie zdybała.

— To dopiero! nigdzieś go nie widziała? — spytał ubawiony książę.

— A nie! ani ja, ani Franek! a śmy do wojska i ciągle myśleli, żeby k spotkać! Jechał ci on przed nami, ale w recie, zwyczajnie, wielka osoba, a my się zdarzyło, to na jakie sanie przysiedli, piechotą i tak dotarli do Warszawy.

— I tak od samego Wilna? — zapytał książę.

— Juścić.

— A w Warszawie co? — spytał znów książę.

W Warszawie, tośmy się z Frankiem nalatali, aż nas jeden poczciwy żołnierz zaprowadził do starszego.

— No i co? — rzekł książę.

— Ten starszy wypytał jak i co, powiedział, co nie trzeba do samego księcia, Franka zapisał do wojska, a mnie to nie chciał.

— O! o! — zdziwił się książę.



STANISŁAW BEŁZA

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

VI.

Meczetu Stambułu. — Na czym się architekci ich wzorowali? — „Ahmed” i jego sześć minaretów. — Zatarg ze stróżami Korana. — „Sulejmanie” i „Bajazyd”. — Groby Padyszachów. — Wspomnienie placu Św. Marka. — Ofiarność muzułmanów na Domy Boże. — Ich wspaniałość i nędza doczesnych mieszkań. — Co uzupełnia meczety? — Cmentarze Konstantynopola. — Wędrówka po nich. — Łączność u Mahometan śmierci z życiem. — Obrazy pełne namaszczenia i kłkliwości. — Przed mogiłami Hametemu.

Że turcy, posiadłszy „Świątą Zofję”, przyjęli ją za natkę swoich świątyń, dowodzi i to także, iż na wzór jej pobudowali w Stambule wszystkie meczety.

Kto, przyjrawszy się jej uważnie, przeniesie wzrok na inne Domy Boże, na których szczycie błyszczą półkiszczycy, ten przyznać to musi, i choćby nie chciał, powtórzy za Amicisem, że nad Żłotym Rogiem, religja zwycięzców przywłaszczyła sobie sztukę religji zwyciężonych. Prawdziwość tego orzeczenia uderza i gdziein-

iej, ale uderza przede wszystkim w tem właśnie miejscu, tu bowiem wszystko, co się na chwałę Boga chwili wzięcia go w posiadanie, dźwigało, wznosi się wyłącznie na tym wielkim staro-greckim architektonicznym pomniku, niedościgniętego geniuszu i pło-ego natchnienia.

Do Europy turcy wtargnęli wojowniczą, ale dziką i podniosłą, przecież nigdzie nie spotkali się z niczem podobnem.

Cóż więc w tem dziwnego, że gdy tu przyszli, porwani zostali pięknem architektury, zakłętym w tych właśnie murach, i że kiedy następnie zapragnęli, rozgościwszy się tu już na dobre, dać wyraz uczuciom religijnym, przepel-

niającym ich ku Al-lachowi, na nich własnego zdobycia się nie mogli, i w ko-nej ofierze złożyli mu, nie oryginały, na które nie było ich stać, tylko kopie.

Każdy ten ich meczet kopuje „Świątą Zofję”, z mniejszą lub większą ścisłością, a niektóre nawet kopują ją tak dokładnie, że, nic nie mając wspólnego z Krzyżem, owszem będąc negacją Krzyża, mury swo-stosowały do krzyża form. W środku więc ka-go z nich jest „Świątą Zofję”, wielka kopu-

ła, tuż przy niej cały szereg kopulek mniejszych, każdy z nich ma wygląd, przypominający jej linje, wszystkie rozmiarami swemi do niej się zbliżają. Rzekłbyś, że artyści, którzy tu po niej świątynie wznosili, grozą kary powstrzymywani byli od oddalania się od wzoru, który raz przyjąwszy dla przybytków Pana na wzór wzorów, chciano mieć, dopóki chwała Pana w wier-nych sercach nie zgaśnie, za jedyny, jak gdyby poczę-ty w niebie, święty wzór...

Ile jest meczetów w Stambule?

Obliczono, że pięćset, jest więc to miasto, ni mniej ni więcej, tylko Rzymem mahometańskim.

Kiedy staniesz na moście Sułtanki Validy i po-slesz wzrok przed siebie, masz przed oczyma cały las minaretów, ale gdy się umieszysz na szczycie wieży Galata, mniemasz, że większa część miasta pokryta jest sztucznymi sklepieniami.

Sklepienia te, nie równej objętości, nie jednej architektonicznej wartości, niby drugi firmament zwi-eszają się nad wszystkim, co tu się rusza, i olbrzymiemu grodowi nadają charakter nawskroś religijny.

I w tym też grodzie brudu, nędzy, zaniedbania, gdzie nic oka nie zatrzymuje na sobie, gdzie nie masz ani prawidłowych muzeów, ani żadnych galerji obrazów, ani budynków, przedstawiających jakąś wartość, gdzie nie widzisz ulic, tylko kanały, gdzie całe stada wygłodzonych psów, bezustannie wchodzą ci w drogę,

utrudniając cyrkulację kołową, w tym grodzie, w porównaniu z którym, ta, po przeciwległej stronie Żłotego Rogu rozpościerająca się, biedna Pera, wydajesz Europą — nie co innego tylko meczety skupiają na sobie cały twój interes. Przed nimi zatrzymujesz się więc bezustannie, im przyglądasz całymi godzinami, pod cieniem olbrzymich ich murów przysłuchujesz się pulsowi życia ludu, który w nich widzi pociechę



Sulejmanje.

w swojej niedoli, arkę ocalenia w niebezpieczeństwie chwili.

I nie powiem, by, skupiając na sobie cały twój interes, jednocześnie te meczety Stambułu nie budziły zarazem i artystycznych w duszy twojej wrażeń. Bynajmniej, architektura niektórych z nich nawet jest

i szlachetną i piękną, wiotkie minarety — w wszystkich, urozmaicają je i zdobią, myśl z ponad ziemi, którą ogarniają pod swoje skrzydła, unoszą bezustannie ku niebu, cielesności ciężkich ostatecznie tych murów, nadają piętno duchowości i poezji.

I gdy się je obierze z tych przystawek, zacieśniających do nich dostęp, gdy odnalazłszy dobrze punkt obserwacyjny, przyjrzy im się uważnie, dostrzeże się ślady harmonji, obcej wprawdzie świątyniom, do których przywykło oko nasze, niepozbawionej przecież uroku i wdzięku.

Ale piękne, czy nie piękne, są one tu wszystkim, skupiają w sobie wszystko.

Będąc przybytkami modlitwy, są jednocześnie jako środowisko, obok którego gromadzą się dobroczynne instytucje publiczne, domami miłosierdzia, koją i uczą, leczą z dolegliwości fizycznych i obmywają z brudu ciało i duszę, i jako takie, są znamiennym wyrazem nie tylko wierzeń, ale i etycznych dążeń całego tego ludu.

I gdy ta Pera, która tam naprzeciwko ma być Europą, w rzeczywistości Europą nie jest, gdy nie będąc jednocześnie także i Turcją, jest czymś bez barwy, bez wyrazu, bez dźwięku; ten Stambuł, dzięki tym meczetom, jest miastem o donośnym tonie. Jest to stara Turcja, brudna, chora, biedna, Turcja skazana na martwość i z poddaniem znosząca swoją dolę, ale Turcja żyjąca wiarą, oddająca cześć swojemu Bogu.

Tę jej wiarę ma się też tu na każdym kroku, ociera się o nią wszędzie, jest się wszędzie pod jej wszechwładnym wpływem, i widząc to ubóstwo dokoła, to niedbalstwo o wygody życiowe, przejawiające się w tych gruzach i ruinach, z którymi spotyka się tu ciągle, tę pogardę doczesności, wyrżytą na każdego twarzą, a jednocześnie tę mnogość, ogrom i wykwinność Przybytków Bożych, poczętych w kontemplacji Istoty Przedwiecznej i wzniesionych w celu dania wyrazu wierze w tę Istotę, dostrzega się jednocześnie to, czego bezbarwnej Perze brak: zarysowujący się jasno charakter.

Charakter miasta, będącego wypadkową dążeń i przekonań całego mahometańskiego świata, streszczającego w sobie cały ten świat, ukazującego nam całą jego duszę...

I gdy tam, w Perze, Europę czuje się na popasie, tu się widzi, że ten świat jest u siebie, że wrył się w grunt, który przeorał przed wiekami swoim pługiem, że jest nie gościem w tym domu, jeno Panem.

I to właśnie, co to miasto od Pery wyróżnia, co je interesującym dla studjów czyni, co dreszczem wreszcie przerażenia przejmuje, kiedy pomyśli się o chwili, gdy Europa wyciągnie rękę po wydartą jej przez półkiszyc perłę morza.

Kiedy się nareszcie nasyci wzrok widokiem Aja Sofia, i z po za studzien i budynków, otaczających ją dokoła, wyprowadzi go na zewnątrz, ukaże nam się w całym majestacie meczet sultana Ahmeda.

Jest to meczet uprzywilejowany, nie tylko w tym tu Stambule, ale w całym świecie mahometańskim.

Jak wiadomo, nieodłączną przynależnością do domu modlitwy u wyznawców proroka są minarety.

Są to wysokie wieżyczki, wysmukło przelające k obłokom, na kilka piętr ponad kopułą, nakrywającą, niby czapką, cały gmach, z których szczytu duchowny mahometański, muezzin, pięć razy dziennie nawołuje wiernych do modlitwy.

Oderwane od budynku, którego stanowią nieodłączną przynależność, nie mają one w sobie nic pięknego i przypominają osadzone w lichtarzu świece woskowe, nakryte daszkiem do gaszenia płomienia, ale razem z nim, dają obraz nie pozbawiony wdzięku.

Nie każdy meczet posiada jednakową liczbę minaretów, Aja Sofia ma ich cztery, inne meczety po trzy lub dwa; ale Ahmed uprzywilejowany snąc jest nad wszystkimi, bo posiada ich aż sześć.

Te sześć minaretów, o mało nie stały się przyczyną rewolucji w Turcji.

Kiedy Ahmed, tuż przy Aja Sofji, umyślił wybudować nowy meczet, i celem zaćmienia jej, zamierzył obciążyć go większą liczbę minaretów, z dalekiej Arabji podniósł się głos donośnego protestu, który znalazł odźwięk w sercach wszystkich wiernych.

— Sześć minaretów — pisał do sultana, oburzony zuchwałym jego projektem, iman Mekki — posiada tylko jedna świątynia Mahometa, a że żadna ze świątyń na świecie z nią się równać nie może, przeto żadna nie może mieć ich więcej nad pięć.

Sułtan był potężnym, ale potężnym był i imię a potężniejszym tembardziej, ile że stały za nim tłumy wyznawców religji proroka. Więc załatwiono sprawę w ten sposób, że dodano świątyni w Mekce jeden więcej minaret, a Ahmedowi nie ujęto ani jednego. Ma więc ich mniej, niż święta Kaaba w Arabji, ale więcej niż każdy inny meczet w świecie mahometańskim. Jest zatem uprzywilejowanym, a uprzywilejowanym jest i z tego też względu, że w jego wnętrzu przechowywaną jest chorągiew Mahometa.

Dziwnie pięknie wygląda ten meczet, gdy się pod pływa ku Stambułowi od strony wysp Książęcych.

Położony bliżej wybrzeża, niż Aja Sofja, rzuca się przedewszystkiem do oczu, a rzuca tem więcej, ile, że góruje po nad nią swojemi minaretami. I gdy zbliżka, naturalnie porównania z nią nie wytrzymuje, zdaleka zestrzela na sobie całkowitą uwagę. Przyczynia się do tego i to, że ma więcej dokoła siebie powietrza, kiedy się więc z pokładu statku, prującego fale morza Marmara, przygląda perspektywie ładu, którego jest niezaprzeczoną ozdobą, zdaje się, że ją zaćmiewa i w kąt spycha. Trwa to przecież niedługo, gdyż wkrótce z poza drzew wysuwa się na słońcu światło kopuła arcydzieła Justynianowego, i o niemożności innem myśleć nie pozwala.

owu schyła

owiedział Har-
e w tył za niego!

w stronę wskazaną
a potem jeszcze

nieckiego. W ołtarzu posiada obraz artysty malarza Szmuglewicza.

Pisząc o Lubartowie niepodobna nie wspomnieć o pałacu, zwykle zamkiem nazywanym; obecnie przedstawia się on jako dwupiętrowa kamienica, zdobna w ornamenty w stylu Ludwika XV. Na szczycie budynku jest ganek z galerją żelazną, do którego prowadzi szerokie schody z misterną żelazną poręczą.

Według dawnych opisów, pałac ten miał inne kształty. Na dziedzińcu prowadzi brama ośmiokątna z figurami drewnianymi na rogach i wieżą pod złoczoną kopułą. Brama ta uzbrojona była pięcioma armatami śpiżowemi. Dziedzińiec otoczony był murem z basztami, a na ich dachach stały figury drewniane. Sam pałac dwupiętrowy miał na środku ganek żelazny na ośmiu filarach wsparty w stylu doryckim. Front cały zdobiły różne figury. Pałac złączony był z ogrodem trzema galerjami z posadzką kamienną i balu-

stradą ozdobioną 20 posągami. Z galerji do ogrodu prowadziły schody dębowe.

W południowej baszcie istniała kaplica pałacowa, a w jej sklepieniu był otwór, wiodący, aż do wierzchołka wieży, w której była urządzona biblioteka w sposób niezwykle. Podłoga wiła się czterema skrętami. Szafa modrzewiowa, wycinkiem szrubowym walca, biegła przy ścianach wzdłuż dwu pięter górnych, jak zwój śruby prostokątnej. Część tego urządzenia przechodziła się dotąd.

Obecnie miasto przedstawia się dość schłodnie i zamożnie. Liczy ono około 8,000 mieszkańców, lecz w tej liczbie z górą 4,500 żydów, którym oddawna kilka placówek handlowych wydarli z rąk chrześcijanie.

Życie towarzyskie mało rozwinięte, a z instytucji społecznych posiada tylko straż ogniową. Oświatę reprezentuje jedna tylko szkołka początkowa.

J. V. J.

KAP. BRERETON.

Tajemniczy samolot

Przeł. z ang.
M. G.

III.

ŚLEDZENIE.

Zbliżał się rzeczywiście Sing Loo, chińczyk, służący tajemniczego pana Teodora Browna.

Z wyniosłego miejsca, na którym siedział Ted i jego towarzysze, mogli widzieć sporą przestrzeń pustkowi i rozległe pola poprzerzynane drogami.

W dole leżała wieś a w przeciwnej stronie za nimi, dom zamieszkały przez profesora Uptona. Na prawo, o jakie trzy mile czerniała ciężka masa ceglana, z której sterczał w górę wysoki, szpetny komin. Stanowił on płamę na pięknym krajobrazie i byłby już pewnie oddawna się rozwalił, gdyby nie to, że opuszczona fabryka garncarska znalazła lokatora.

Najął ją Teodor Brown, człowiek nieznanego, nieokreślonego wieku, niewiadomego stopnia wykształcenia. Nie wychodził prawie za obręb „Wawrzynów“, jak nazwał swą posiadłość, a wyręczał się służącym chińczykiem, który załatwiał wszystkie sprawy. O istnieniu pana Teodora w głębi „Wawrzynów“, mógł nikt nie wiedzieć. Tylko Ted, i jego koledzy mieliby coś nie coś do powiedzenia o nim.

— Takie szczegóły dopiero później się przypominają — mówił Ted, przed ukazaniem się Sing Loo. — Byliśmy ciekawi poznać tego pana Teodora i wybraliśmy się z ojcem do niego w odwiedzinę. Wprowadził nas Sing Loo. W domu niewiele mebli, ale urządzenie wygodne. Pan Teodor ma zupełnie zwyczajną minę, jest nawet dość ożywiony i wesoły, choć trochę skryty a oczy ma jakieś zadumane. Oddał nam wizytę, lecz nas nie zastał. Spotkaliśmy się jeszcze raz, ale cofnął się zaraz do swojej ceglanej skorupy. Tylko z komina ciągle walił dym jeszcze większy niż z czasów, kiedy wypalano w „Wawrzynach“ garnki.

— Dowodzi to, że pan Teodor pracuje...

6)

— I że tam budował się „Upiór“ — wykrzyknął gorączkowo Jeny. — A czy widziałeś jakie maszyny, Ted?

— Nic zgoła! W podwórzu, po obu stronach, stoją wielkie szopy, a pośrodku jest ogromna pusta przestrzeń. Cała posiadłość otoczona jest murem wysokim z 15 stóp. Nie widzieliśmy tam nic, oprócz dymu, buchającego z komina. Ale pamiętam, że do „Wawrzynów“ zwożono ze stacji wielkie i ciężkie paki. Widziałem jak je zwozili.

— To maszyny niezawodnie! — zawołał Jeny. — I o zakład idę, że pan Teodor...

— Cicho! Sing Loo już niedaleko! — szepnął Ted.

— Idzie pewnie po kotwicę — dodał Harvey, czołgając się trochę naprzód.

Na tle zachodzącego słońca, rysowała się wyraźnie dziwna postać chińczyka, karłowata, odziana w luźne szaty, człapała powoli, wspinając się pod górę i zawróciła na drogę, wiodącą prosto do kryjówki trzech sprzymierzeńców. Chińczyk nie oglądał się za siebie, lecz człapał pomaleńku, jakby szedł bez celu, nie rachując się z czasem. Ale widząc go zbliżającego, łatwo było poznać, że nawet na jego martwej twarzy odbija się cień niepokoju. Spoglądał na buki, nie odwracając głowy, a przystanąwszy dla zerwania kwiatka, schylił się i rzucał spojrzenie za siebie przez szparę między rozstawionymi szeroko kolanami.

— Co on robi? — zapytał niecierpliwie Harvey. — Jest już blisko kotwicy... Czemu jej nie bierze?

— Minął ją — szepnął Jeny. — I znowu schyla się po kwiatek... A jak wolno go zrywa!

— Bo on jest przebiegły — jak powiedział Harvey — przerwał żywo Ted. — Spójrzcie w tył za niego! Sing Loo jest śledzony!

Istotnie, chłopcy spojrzawszy w stronę wskazaną przez Teda, zobaczyli najpierw jedną, a potem jeszcze

dwie głowy, wysuwające się istotnie z pośród kęp jałowca, rozrzuconych po polu.

— Więc nasze domysły były trafne, — zawołał uradowany Harvey.

— I okaże się wkrótce, że nasza straż jest konieczna — szepnął Jeny. — Ci ludzie posądzają pana Teodora o to samo co i my i myślą, że śledząc chińczyka, dowiedzą się gdzie jest „Upiór“.

— Ale w jakim celu? — nastawał Harvey.

— Któż to może zgadnąć? Może po to by wykraść wynalazek, albo żeby zniszczyć „Upióra“. A może przez prostą ciekawość... Mnie to wydaje się bardzo podejrzane...

Istotnie, było to podejrzane, że obcy ludzie idą, jak psy gończe, tropem spokojnego chińczyka. Nagle wszystkie trzy głowy wysunęły się jednocześnie a potem znikły, ale teraz już znacznie bliżej od Sing Loo.

— Musieli chyba biedz kłusa między zaroślami — powiedział Ted. — Moznaby posądzać, że chcą zabić albo obrabować chińczyka...

— Ale on im się nie da, zobaczycie! Biegnie teraz pędem, bo droga tu się zniża, więc mogliby go stracić z oczu. A jemu o to właśnie idzie — dodał Harvey.

Położenie wyjaśniło się zupełnie. Chińczyk wiedział, że jest śledzony, ale droga, którą człapał, prowadziła w stronę przeciwną od „Wawrzynów“. Idąc po wzgórzu nie przyśpieszał kroku, nie chcąc zwracać uwagi ścigających, lecz doszedłszy do miejsca gdzie droga zapadała się w dół, okręcił szybko warkocz nokoło głowy, wcisnął na wierzch żółtą mykę i wpadłszy w zarośla, puścił się szybkim truchtem.

Chłopcy widzieli doskonale ten manerw, bo górowali nad chińczykiem, gdy ci co go ścigali, byli na jednym z nim poziomie, więc zbili się w gromadkę i po krótkiej naradzie rozbiegli się w różne strony i zapadli w gęstwinę.

— Fiu—u—u! — gwizdnął swoim zwyczajem Ted.

— Dobrze wybraliśmy sobie miejsce! — zaśmiał się kanadyjczyk. Jak z łoży widać tu wszystko, jak na dłoni.

— A przyszliśmy w samą porę — dodał Jeny. — Chińczyk pędzi w naszą stronę i wkrótce minie wierzchołek wzgórza; wtedy ci co go ścigają stracą trop.

Chłopcy śledząc z natężoną uwagą pogoń, zasta-

nawiali się jaki cel mają ci nieznajomi? O co im właściwie chodzi? Czy o to gdzie się ukrywa tajemniczy samolot? Czy przez prostą ciekawość... Nie, to było zupełnie nieprawdopodobne.

— Idzie im napewno o coś ważniejszego — dowodził Jeny. — Szpiegują chińczyka, bo mają na celu „Upióra“ a „Upióra“ szukają, bo są niezawodnie szpiegi.

— Szpiegi! Bajka! Tu, w Anglii? — oburzył się Harvey.

— Tak, tu w Anglii! Ojciec mówił mi, że nasi wrogowie znają cały nasz kraj doskonale, że mają dokładne mapy Anglii, a nasze porty znają również dobrze jak nasi piloci i mają wstęp nawet do doków rządowych. A że ten samolot jest faktycznie doskonalszy od wszystkich dotąd znanych, że jest napewno angielski, więc chcą go zbadać i zabezpieczyć się od niespodzianek w razie wojny.

d. c. n.

Przyjście wiosny.

Z za gór, gdzieś od przepastnych, błękitnych przełęczy,

Z pod nieba złoczonego w śnieżne, ziemskie światy,
Jak wiatrem kołysany w mgłę obłok skrzydlaty,
Idzie wiosna-królowa w słonecznej otęczy.

Idzie, a do jej drobnych, lekkich stóp się chyli
Cały zastęp jej dworzan, paziów i rycerzy,
A złożony z jaskółek, z narcyzów-żołnierzy,
I otoczony gwardją przyboczną z motyli.

Idzie wiosna i ciepłe słońca blaski ciska,
Kołysząc mchy i kwiaty słodką, duszną wionią,
Idzie, idzie a z rąk jej zdroj rosy wytryska.

Śnieżysto-białe lilje do jej stóp się kłonią,
Słowiczy chór radosny nad jej czołem dźwięczy,
Idzie wiosna-królowa w słonecznej otęczy.

Marja Poraska.



Poświęcenie „Warszawskiej kooperatywy drzewnej“.



Motocykl-armatka (daje 300 strzałów na minutę).

PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 5)

Tu Maciej podniósł porzuconą na ziemi sukmanę i zaścielając nią powaloną sosnę, zapraszał księdza aby usiadł.

— Ale ja wam tu może i przeszkadzam w pracy mój Macieju!

— Gdzież tam jegomość, gdzie. Praca ciężka. Bez przerwy przecież siekierą walić nie można. Czy tak czy siak musiałbym chwilę wypocząć!

Ksiądz patrzył na spracowanego chłopca i przemysłował jakby tu zręcznie naprowadzić rozmowę na temat, który go tutaj sprrowadził, ale że nie był politykiem, że całe życie nie umiał udawać, zagadnął po głębokim namyśle prosto z mostu:

— A cóż tam wasz Jasiu?

Chłop zerwał się jak gdyby mu kto na najczulszy nagniotek nastąpił.

— Oj jegomość, jegomość! Co ja mam z tym zartaconym rakiem za zmartwienie to nie wypowiedzieć.

— O, o, a cóż on panie takiego zrobił?

— Uczyć się chce! — wykrzyknął Maciej, a wykrzyknął z taką desperacką miną, że ksiądz całej siły woli musiał użyć, aby zapanować nad śmiechem.

— To, to przecież znowu nic tak złego!

— Co też jegomość mówi nic złego! Myślałem, że się z chłopaka pociechy doczekam, rozrasta się, ucieszyłem się, że lada chwila kupię mu siekierę i wezmę z sobą do lasu, niech to chociaż gałęzie obcina, a ten tu kiedyś powiada, nie do lasu pójdę, ale oddajcie mnie do gimnazjum. Uczyć się, powiada, chce jak Jura. Oj, dałem ci mu też gimnazje, dałem ci mu też Jurę, ażem ochwatu w rękę dostał!

— A toście źle zrobili Macieju! Skrzywdziliście waszego chłopaka najniewinniej i odpowiecie panie za to przed Bogiem. A to panie biedota garnie się do nauki, a tu rodzony ojciec zamiast mu dopomódz, zamiast poradzić, a jak sam panie głupi spytać się mądrzejszych, to ci panie za pas i dalejże prac chłopaka. I jeszcze się chwali panie jak czem dobrem. O, o, panie...

I zapalał się pocziwy proboszcz na myśl o niezasłużonem cierpieniu chłopaka, a w miarę jak mówił Maciej coraz szerzej i szerzej oczy z podziwu otwierał.

Gdy ksiądz zmęczony na chwilę umilkł, aby zaczerpnąć oddechu, Maciej otwarłszy oczy tak szeroko, że już szerzej ich otworzyć nie można było, począł belkotać przyrywaniem głosem:

— Jak to jegomość?... Więc to niby jak?... To ja i Jura... Jura z tych dziesięciu palców, to jest nie Jura, ale ja i gimnazja i ja niby krzywdę? Oj jegomość, jegomość!

— A któż ci tu panie mówi, żebyś ty z twoimi dziesięcioma palcami. Tu panie wielka rzecz. Jak ta-

ka biedota pragnie się uczyć, to panie na ludzi wyjść może. Tu się trzeba było poradzić. O, o, panie poradzić, a nie zaraz panie łupu cupu bić chłopaka. Jeszcze są ludzie, którzy takiemu pomogą. A nie miłoby ci to było panie zobaczyć syna księdzem?

— Rany Boskie! Co jegomość się tak wziął na mnie? Za co? Adyć przecież nic złego nie zrobiłem. Mój Jasiu księdzem? I Pana Jezusiczka by ci piastował? Oj jegomość!

— Ano widzisz panie. Na samą myśl o tem łzy ci kapią z oczu, a kiedy ci to syn powiedział to ty go pasem. Widzisz go, gorączka panie... Szkoły nie tylko dla bogatych... i taki tam panie dobry Baradziej jak panie i Jura. A już ty się tylko panie nie przeciw, do pasa panie zaraz nie sięgaj, a my tam już z panem Zdarskim jakoś radzić będziemy, żeby biedota na ludzi wyszła.

Barański słuchał, słuchał i widać było, że uszom własnym nie wierzy. Nagle ryknął płaczem i pochwycił nogi księdza.

— Jaki? Wyrozumieć nie mogę. To niby jegomość i pan nauczyciel chciałby mego Jaśka do gimnazji... Niby na księdza...

— Ano, ano! Niechby biedota panie... A ty za nogi nie obejmuj, nie klękaj panie, bo widzisz ja też człowiek taki jak ty, a przed Bogiem się tylko klęka!

I proboszcz podniósł siłą chłopca z ziemi, posadził go przy sobie na drzewie i opowiedział mu, że tam w szkole Zdarski w tej chwili egzaminuje jego chłopaka i jeżeli się pokaże, że da sobie radę, to jakoś się poradzi. Uzyskawszy wreszcie od Macieja pozwolenie na wysłanie Jaśka do szkół, proboszcz pozostawił oszołomionego chłopca i powrócił na plebanie.

Na ganku oczekiwał go już Zdarski.

— No i cóż? Jakże tam?

— O, powiadam ci, to głowa! Da sobie radę. Poduczę go jeszcze trochę niemieckiego i egzaminu jestem pewny!

— Ano to ładnie, to dobrze. Ja też panie czasu nie traciłem, ugłaskałem panie Macieja i chłop nie tylko pozwolił, ale szczęśliw jest, bo mu powiedziałem, że Jasiu jego może zostać księdzem!

— To doskonale się składa. Teraz pozostaje nam tylko obmyślić koszt utrzymania Jaśka. Ja biorę na siebie opłaty wstępne i mieszkanie!

— O, o, a nie za ciężko ci to będzie, bo widzisz ja może..

— Skończone! Co ma być za ciężko! Składać nie będę, pogrzeb sprawisz mi za darmo, a zresztą co tam...!

— O, o, gorączka panie! Zaraz, aby ugryść z pogrzebem wyjechał. A to panie masz od Boga na piśmie, żeś ty pierwszy, a nie ja? Widzisz go panie bezbożnika! Wyroki Opatrzności będzie tu referował!

— No, nie chciałem cię obrazić! Nie gniewaj się!

Ksiądz fukał jeszcze chwilę, bo przy całej swej dobroci raptus był z niego podobnie jak ze Zdarskiego i dopiero po chwili uspokoiwszy się podjął rozmowę na nowo:



Nie, *Żywio*, pomimo wszystko, co piszesz, na co się skarżysz, nieszczęśliwą nie jesteś!

Nie mogę ci więc współczuć, bo kto posiada młodość, zdrowie i możność kształcenia się, kto w dodatku, jak ty pisze, że „troski o byt nie znam” ten jest jeszcze szczęśliwym i nie ma prawa mówić, że życie mu obojętne, że nie potrafi całą duszą ukochać jakiegoś ideału. Takie uczucia, takie myśli niegodne są człowieka, niegodne są Polki-chrześcijanki!

Porzuć, *Żywio*, to wpatrywanie się we własne „ja”, ono zabija w tobie szlachetniejsze pierwiastki, podsyca egoizm, a nawet i próżność...

Tak, próżność, gdyż zajęta wyłącznie sobą, uważasz siebie za pokrzywdzoną, godną lepszego, wymarzonego jakiegoś losu, każdą zaś, najmniejszą choćby zaletę, uważasz za doskonałość, najdrobniejszy, zwykły czyn, za bohaterstwo, i stąd ten rozdźwięk z życiem, które Bóg nam dał dla osiągnięcia własnego szczęścia i dla pomagania osiągnięcia go bliźnim, a nie na marnowanie go przez samolubstwo i narzekania.

Może zbyt ostro się wyrażam, ale ty zbyt jesteś przez swe otoczenie pieszczona, zbyt wiele pieścisz się i kochasz sama, a nie znając prawdziwego cierpienia, prawdziwej niedoli, egzaltujesz się i upatrujesz nieszczęście tam, gdzie ono nie istnieje, źle więc wywdzięczasz się Stwórcy i opiekunom, źle! Sama sobie nawet krzywdę tem czynisz, gdyż powoli możesz się stać kwaśną i niemilą innym.

Rada moja, o którą prosisz, brzmi. „Tak, jak siebie, kochaj bliźnich, zaczynając od otoczenia, zwłaszcza tych, którym wasz dom daje pracę, utrzymanie i porównywaj bezstronnie ich dolę ze swoją, ich braki i smutki ze swymi”. A wiedz, że i od nich są jeszcze bardziej smutniejsi, nieszczęśliwsi, a więc bez porównania więcej od ciebie zasługujący na współczucie i pomoc.

Jeżeli na skutek twego słowa, lub czynu obeschnie w oku tych najsmutniejszych choćby jedna łza — napisz do mnie powtórnie.

Co to? i *Kochająca* niezadowolona z życia?! Epidemia jaka, czy co!

Nie, to jakiś chwilowy, przemijający nastrój, to być nie może i nie biorę tego serjo, gdyż wypłynął on z przemęczenia przy rozpoczynających się egzaminach; lecz promocja do siódmej klasy i wakacje powrócą ci wesołość, radość życia i zapał do dalszej pracy, do czynu, nieprawdaż?

Użyteczną, droga dziewczeczką, możesz być zawsze, nie potrzeba na to posiadać pieniędzy: wszakże dobre słowo, pomoc ręk, nakarmienie głodnego, a niekiedy nawet uśmiech, bywają też wielce cennym, dobrym uczynkiem, a więc osoba, świadcząca go użyteczną.

Pytasz o ochronkę, otóż czytelników, pragnących jej założenia jest wielu, ale składki nie nadpływają, tak jak się można było spodziewać, więc dzieło nie postępuje, ale może wkrótce będzie lepiej. Oczekując przystania podobizny dziękuję ci tymczasem za jej obietnicę i całuję serdecznie.

Masz słuszność *Halko z Bodzechowa*, Polka z ojczywego języka i historii Polski powinna mieć zawsze piątkę, mniejszy stopień to wstydy! Dodaję wszakże, że, jako chrześcijanka, z religii, sprawowania i pilności, również, nie może mieć stopnia mniejszego nad piątkę, nieprawdaż? Dobrze, że tak lubisz czytać książ-

ki historyczne, pamiętaj tylko, że lepiej jest czytać mało, a z korzyścią, niż wiele bez pożytku.

Za sympatię, jaką czujesz dla mnie, dziękuję ci serdecznie, ale uczucia tego musisz mi dowieść przez częstą i stałą korespondencję, gdyż inaczej trudno mi będzie w sympatię wierzyć. Czy zgadzasz się kochanko?

Przekonałaś się więc kochana *Oso*, że korespondencja z „Przyjaciółką” wcale nie jest straszną, ani trudną, bardzo mię to cieszy, a jeszcze więcej cieszyć się będę, jeżeli pogawędka ta da nam jakie korzystne wyniki duchowe, bo o to przedewszystkiem mi się rozchodzi.

Czytelników chętnych założeniu ochronki jest dużo, tylko ofiar mało, ale to dopiero początek. Pieniądze na ochronkę możesz przysłać przekazem pocztowym, pod adresem redakcji „Wieczorów” z zaznaczeniem tylko, że na ochronkę.

Halinka buziaka mile przyjęła i odwzajemnia się całusem, mówiąc, że choć os się boi z *Oszą* chętnieby się zapoznała.

Pani Zof. Krusz. Wspomnianą ofiarę redakcja otrzymała i ogłosiła w 18 n-rze pisma.

Bardzo mi będzie przyjemnie poznać chłopców Szan. Pani. Dnie moje: poniedziałki i soboty od 2 i pół do 3 i pół. Żądany adres: Hoża 23 m. 18, druga brama.

Niestety, kochana *Goplano* pierwszy twój list widocznie zaginął, gdyż go nie otrzymałam, zdarza się to niekiedy ku obustronnemu utrapieniu. Rozumiem dobrze, kochanie, twoją tęsknotę za krajem, rodakami, pocieszaj się wszakże myślą, że przyjdzie chwila, w której wrócisz do kraju i od ciebie będzie zależało nie rozstawać się już z nim nigdy. I tymczasem, choć na obczyźnie, możesz być dla swej ziemi pożyteczną, przez kształcenie umysłu i charakteru, by zostać z czasem znaną obywatelką swej ojczyzny, przez gorliwe uczenie się ojczywego języka i dziejów swej ziemi. Widzisz serdecznie ty moja dziewczeczko, smutne to jest bardzo, ale niemal każdy, dłużej i stale przebywający zagranicą, jeżeli bardzo się nie pilnuje i nie przestrzeżga ojczywej mowy, kaleczy ją sobie. Nie unikań ten los i ciebie: język twój, w liście przynajmniej, szwankuje. Nie zżymaj się za tę uwagę, lecz pracuj usilnie i czuwaj baczenie nad czystością i poprawnością pięknej naszej, przebogatej mowy.

Z chwilą nadesłania składki na ochronkę, redakcja załączy cię w poczet jej założycieli, a bardzo ich dotąd niewielu.

Halinka dziękuje ci za pamięć i buziaka i wraz ze mną zasyła uściśnienia.

Jak to dobrze, że nieznośna choroba opuściła już milusią *Lolę Figlarę*, której „Przyjaciółka” i Halinka dziękują za karty i pamięć, ale oczekują obszernego listu. No i cóż, czy dziewczuszka moja znalazła więcej czasu na naukę Polskiego języka? zdaje mi się, że tak, bo błędów w ostatniej karcie nieco mniej... maluczko. maluczko, a nie będzie ich wcale, wszak prawda?

Jeżeli *Lilja* istotnie pragnie założenia owej ochronki, powinna osobiście przyczynić się do tego. Ja, zdanie twe w zupełności podzielam, mówiąc za tobą, że: „My, Polacy, powinniśmy dbać, aby nasi mali braci-szkowie i siostrzyczki mogli wyrosnąć na zacnych członków społeczeństwa!

Z nadesłanych utworów, jeden p. t. „Jaś” mógłby się nadać do działu „Sami Sobie” wymaga jednak literackiego opracowania i przeróbek. Dobrze świadczy o tobie, droga, kochana *Liljo*, żeś przyjęła uwagę, ale przykrości nie powinna była ona wywołać, boć dla twego dobra uczyniła ją

Przyjaciółka.